



MATERIAŁ NA CHŁOPAKA



ALEXIS HALL

MATERIAŁ NA CHŁOPAKA

ALEXIS HALL

MATERIAŁ NA CHŁOPAKA

tłumaczenie Martyna Tomczak

Tekst przed korektą



OTWARTE

Kraków 2021

Tytuł oryginału: Boyfriend Material

BOYFRIEND MATERIAL

Copyright © 2020 by Alexis Hall

Originally published in the United States by Sourcebooks, LLC.

www.sourcebooks.com

All rights reserved

Copyright © for the translation by Martyna Tomczak

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Natalia Karolak

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki: Elizabeth Turner Stokes

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania:

Magdalena Palej

ISBN 978-83-8135-087-7



WYDAWNICTWO
OTWARTE

www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Dla CMC

ROZDZIAŁ 1

Nigdy nie rozumiałem sensu przebieganych imprez. Masz dwa wyjścia: albo się starasz i koniec końców wyglądasz jak idiota, albo nie starasz się wcale, z podobnym skutkiem. Mój problem, jak zwykle, polegał na tym, że nie wiedziałem, którym rodzajem idioty wolę być.

Postanowiłem się nie wysilać. Po czym w ostatniej chwili spakowałem i podejmując karkołomną próbę znalezienia sklepu z kostiumami, wylądowałem w jednym z tych dziwacznie konwencjonalnych sex shopów oferujących czerwoną bieliznę i różowe dilda ludziom, których ani jedno, ani drugie specjalnie nie interesuje.

Dlatego na imprezie, na której było już za gorąco, za tłoczno i za głośno, zjawiłem się w czarnych koronkowych króliczych uszach, których seksualny charakter wydawał mi się problematyczny. Przysięgam, kiedyś byłem dobry w te klocki. Ale straciłem wprawę, a mój wygląd taniego eskorta dla wielbicieli bardzo konkretnego fetyszu nie sprzyjał triumfalnemu powrotowi do świata szalonych imprez. Co gorsza, było na tyle późno, że wszyscy inni samotni nieudacznicy z pewnością dali za wygraną i poszli do domu.

Gdzieś w głębi tej pieczary pełnej pulsujących światła, urywanych elektronicznych dźwięków i spoconych ciał znajdowali się moi przyjaciele. Wiedziałem o tym, ponieważ rozmowa w naszej grupie na WhatsAppie – aktualnie zwanej Queer Comes The Sun – składała się z licznych wariacji na temat: „Gdzie, do ch..., podział się Luc?”. Mimo to otaczali mnie tylko ewentualni dalecy znajomi moich dalekich znajomych. Przepychając się do baru, zmrużyłem oczy, by spojrzeć na tablicę z listą drinków wymyślonych specjalnie na tę noc, po czym ostatecznie zamówiłem Pogadajmy o Zaimkach Podpierając Ściany, uznałem bowiem, że może być smaczny, a nazwa celnie opisuje moje szanse, aby dziś zaliczyć. Dziś lub kiedykolwiek.

Pewnie powinienem wyjaśnić, dlaczego popijałem niebinarny koktajl w piwnicy w Shoreditch, mając na sobie akcesorium wyrażające najbardziej mieszczański fetysz świata. Ale szczerze mówiąc, sam zaczynałem się nad tym zastanawiać. W skrócie: Jest taki typ – Malcom. Znam go, bo wszyscy go znają. Zdaje się, że to makler, bankier albo ktoś w tym rodzaju, ale wieczorami – a właściwie od czasu do czasu, konkretnie przez jeden wieczór w tygodniu – staje za didżejką na imprezach trans/genderfluid z cyklu Surf ‘n’ Turf @ The Cellar. Dzisiejsza nosiła nazwę „Transherbatka u Szalonego Kapelusznika”. Cały Malcom.

W tej chwili znajdował się z tyłu sali, miał na sobie fioletowy cylinder, pasiasty frak, skórzane spodnie i niewiele więcej, i jak to mówią, zapodawał tłuste bity. A może wcale tak nie mówią. Może nikt, absolutnie nikt nigdy tak nie powiedział. W czasach, gdy spędzałem upojne noce w ekscentrycznych klubach, nie pytałem nawet o imiona swoich jednonocnych zdobyczy, nie mówiąc o spamiętywaniu żargonu.

Westchnąłem i upiłem łyk swojego nierokującego koktajlu. Powinno istnieć słowo określające uczucie, które cię ogarnia, gdy robisz coś, na co nie masz ochoty, żeby okazać komuś wsparcie, po czym uświadamiasz sobie, że ten ktoś właściwie cię nie potrzebował i nikt by nawet nie zauważył, gdybyś został w domu w piżamie

i wyjadał nutellę prosto ze słoika. To właśnie czułem. I pewnie powinienem był wyjść, tyle że gdybym to zrobił, byłbym tym głupkiem, który zjawił się na Herbatce u Malcoma w przebraniu, w które włożył minimum wysiłku, wypił jedną ósmą drinka, po czym zawiązał się bez słowa.

Wyjąłem telefon i wysłałem do grupy smutne „Jestem, gdzie Was szukać?”, ale obok wyświetlił się jedynie ponury symbol zegarka. Kto by pomyślał, że w betonowych podziemiach nie będzie zasięgu?

– Ale wiesz, że te uszy nie są nawet białe? – Czyjś ciepły oddech musnął mi policzek.

Odwrociłem się i ujrzałem nieznanego. Był to całkiem ładniutki nieznajomy o spiczastym, jakby lisim typie urody, który zawsze wydawał mi się dziwnie czarujący.

– Wiem, ale naprawdę się spieszyłem. A ty w ogóle nie masz przebrania.

Uśmiechnął się, przez co jego twarz zrobiła się jeszcze bardziej spiczasta, jeszcze bardziej lisia i jeszcze bardziej czarująca. Odchylił połą marynarki, ukazując nalepkę ze słowem „Nikt”.

– Domyślam się, że to jakieś irytujące hermetyczne odniesienie.

– „Jakże chciałbym mieć takie oczy – powiedział Król strapionym głosem. – Widzieć, że Niko nie ma na drodze!”*.

– Mądrała.

Rozbawiło go to.

– Bale przebierańców wyzwalają we mnie najgorsze instynkty.

Może nie była to moja najdłuższa rozmowa z nieznanym facetem, której dokumentnie nie schrzaniłem, ale szedłem na rekord. Teraz grunt to opanować panikę i nie wyjść na nieznosnego palanta albo gigantycznego kurwiszona.

– Wolę sobie nie wyobrażać, w kim wyzwalają najlepsze.

– Ano choćby w Malcomie. – Znów uśmiech i błysk zębów.

* L. Carroll, *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*, tłum. M. Słomczyński, Wrocław 1990, s. 199 (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).

– W Malcomie wszystko wyzwala najlepsze instynkty. On by cię przekonał, żebyś się cieszył, że musiałeś zapłacić w sklepie dziesięć pensów za plastikową torbę.

– Błagam, nie podsuwaj mu pomysłów. A tak w ogóle jestem Cam. – Przysunął się odrobinę bliżej. – Ale pewnie nie dosłyszałeś, więc umówmy się, że będę reagował na dowolne jednosylabowe imię z samogłoską w środku.

– Miło cię poznać, Bob.

– Mądrała.

Nawet w świetle stroboskopów dostrzegłem isierki w jego oczach. Zacząłem się zastanawiać, jaki mają kolor z dala od ciemności i tęczyowych reflektorów. To był zły znak. Jeszcze chwila i koleś zacznie mi się podobać. A to, jak wiadomo, nie wróży nic dobrego.

– Jesteś Luc Fleming, prawda? – zapytał.

No serio, w życiu bym się nie spodziewał. Takie moje parszywe szczęście.

– Właściwie to Luc O'Donnell – sprostowałem jak zawsze.

– Ale jesteś synem Jona Fleminga?

– A na co ci to wiedzieć?

Zamrugnął, zaskoczony pytaniem.

– Nie, na nic. Tylko kiedy zapytałem Angie, kim jest ten seksowny ponurak, powiedziała: „A, to Luc. Syn Jona Fleminga”.

Angie to dziewczyna Malcoma, w tej chwili przebrana za Alicję, no bo za kogo innego?

Nie podobało mi się, że ludzie za plecami mówią o mnie „syn Jona Fleminga”. No ale co mieliby mówić? „To Luc, jego kariera spłynęła w kiblu”? „To Luc, od pięciu lat nie miał stałego związku”? „To Luc, wszystko mu się posypało”?

– Niech będzie. To ja.

Cam oparł łokieć na barze.

– Niesamowita sprawa. Nigdy wcześniej nie poznałem nikogo sławnego. Powinienem udawać, że uwielbiam twojego ojca czy że go nienawidzę?

– Ja go nawet nie znam. – Nie była to żadna sensacyjna wiadomość, wygooglowałby ją w pięć minut. – Więc niespecjalnie mnie to obchodzi.

– To chyba dobrze, bo pamiętam może z jedną jego piosenkę. Coś o kapeluszu z zieloną wstążką.

– To akurat Steeleye Span.

– A, czekaj. Jon Fleming grał w Rights of Man.

– Tak, ale nic dziwnego, że ci się mylą.

Spojrzał na mnie bystro.

– W ogóle nie są podobni, mam rację?

– Powiedzmy, że istnieje parę subtelnych różnic. Steeleye to bardziej folk rock, a Rights of Man rock progresywny. Steeleye używali dużo skrzypiec, mój ojciec jest flecistą. Poza tym w Steeleye Span śpiewa kobieta.

– Okej. – Znów się uśmiechnął, mniej speszony niż ja byłbym na jego miejscu. – Czyli nie mam pojęcia, o czym mówię. Za to mój tata jest ich wielkim fanem. Ma wszystkie płyty. Trzyma je na strychu razem z dzwonami, w które nie zdołał się wcisnąć od siedemdziesiątego dziewiątego.

Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać, że jakieś osiem milionów lat temu Cam nazwał mnie „seksownym ponurakiem”. Tyle że teraz ponurak zwyciężał w proporcji osiem do dwóch.

– Wszyscy ojcowie moich znajomych są fanami mojego ojca.

– To ci się musi rzucać na psychikę.

– Dosyc.

– A przez ten program pewnie jest jeszcze dziwniej.

– Powiedzmy. – Apatycznie trąciłem szklankę. – Częściej mnie rozpoznają. „Hej, twój tata występuje w tym głupkowskim talent show” jest jednak odrobinę lepsze niż „Hej, twój tata to ten gość, który w zeszłym tygodniu dał z główki policjantowi, a potem obrzygał sędziego naćpany heroiną i płynem z WC kaczki”.

– To przynajmniej ciekawe. Najbardziej skandaliczna rzecz, jaką zrobił mój ojciec, to potrząśnięcie butelką z keczupem, która okazała się otwarta.

Mimowolnie parsknąłem śmiechem.

– Jak możesz drwić z mojej dziecięcej traumy? Kuchnia wyglądała jak z *Hannibala*. Mama do dziś mu to wypomina, ilekroć się wkurzy, nawet jeśli nie jest wkurzona na niego.

– Cóż, moja mama też wspomina ojca, kiedy jest na mnie zła. Tyle że zamiast „To zupełnie jak wtedy, kiedy twój ojciec zachlapał kuchnię pikantnym sosem pomidorowym” mówi raczej coś w stylu „To zupełnie jak wtedy, kiedy obiecał wrócić na moje urodziny, po czym został w LA, żeby wciągać kokę z cycków jakiejś prostytutki”.

Cam zamrugął.

– Ups.

Cholera. Starczyło pół drinka i ładny uśmiech, żebym zaczął śpiewać jak sympatyczny mały ulicznik na paryskiej barykadzie. Właśnie takie rzeczy lądują potem w gazetach. „Kolejny koka-inowy wyskok Jona Fleminga”. Lub może: „Jaki ojciec, taki syn. Incydent z dzieciństwa Fleminga juniora porównany do narkotykowych eskapad ojca”. Albo najgorzej: „Lecą latka, a ona wciąż wariatka. Odile O'Donnell nadal wyżywa się na synu z powodu seksualnych ekscesów ojca w latach osiemdziesiątych”. Właśnie dlatego w ogóle nie powinienem wychodzić z domu. Ani z kimkolwiek rozmawiać. A już zwłaszcza z ludźmi, którym chciałbym się podobać.

– Słuchaj – odezwałem się, nie dbając o zachowanie pokerowej miny, choć balansowałem na krawędzi – moja mama to naprawdę dobry człowiek, sama mnie wychowała i dużo przeszła, więc... ten... mógłbyś zapomnieć, co usłyszałeś?

Nieznamy rzucił mi spojrzenie, którym obdarza się kogoś, kogo przekładasz z szufladki z napisem „atrakcyjny” do tej z napisem „dziwak”.

– Przecież nic jej nie powiem. Nawet jej nie znam. I owszem, możliwe, że podszedłem, żeby cię wyrwać, ale daleko nam jeszcze do przedstawiania się rodzicom.

– Przepraszam. Wybacz... Po prostu staram się ją chronić.

– I myślisz, że potrzebuje ochrony przed randomami z barów?

Oczywiście wszystko zepsułem. Ponieważ prawdziwa odpowiedź brzmiała: „Tak, żeby nie poszli do brukowców, bo to się naprawdę zdarza”, ale nie chciałem podsuwać mu pomysłów. Oczywiście możliwe, że sam na to wpadł i rozgrywał mnie teraz jak partię fletu lub skrzypiec, w zależności od tego, w którym ze-
spole z lat siedemdziesiątych mnie widział. Pozostała więc opcja numer dwa: pozwolić, by ten zabawny, seksowny facet, z którym chciałem choć spróbować się przespać, wziął mnie za paranoika z podejrzaną fiksacją na punkcie matki.

– Hm. – Przełknąłem ślinę. Czułem się tak pociągający jak przejechana wiewiórka. – Możemy wrócić do wyrywania?

Zapadła cisza, dłuższa niżbym chciał. A potem Cam się uśmiechnął – co z tego, że odrobinę nieufnie?

– Jasne.

Znów cisza.

– No to ten... – zacząłem. – To twoje wyrywanie... Dość minimalistyczne, powiedziałbym.

– Na początku chciałem, wiesz, chwilę pogadać i zobaczyć, jak pójdzie, może spróbować cię pocałować czy coś. Tylko że w zasadzie zdążyłeś już storpedować moją strategię. Więc jestem w kropce.

Spuściłem głowę.

– Przepraszam. Nie zrobiłeś nic złego. Jestem naprawdę kiepski w... – Szukałem słowa, które zwięźle, ale trafnie podsumuje moje ostatnie przeżycia randkowe. – We wszystkim.

Może wyobraźnia płatała mi figle, ale zdawało mi się, że Cam właśnie w tej chwili podejmuje decyzję, czy jestem warty zachodu. O dziwo, chyba stwierdził, że tak.

– We wszystkim? – powtórzył i pociągnął mnie za koniuszek króliczego ucha w sposób, który postanowiłem uznać za wyraz zachęty.

To chyba dobry znak? To musiał być dobry znak. A może fatalny? Co jest z gościem nie tak, że jeszcze nie uciekł z krzykiem?

Nie. Za dużo myślę, a to najgorsze, co można zrobić, zwłaszcza jeśli jest się mną. Muszę powiedzieć coś zabawnego i kuszącego, i to natychmiast.

– Możliwe, że w całowaniu nie jestem najgorszy.

– Mmm. – Cam nachylił się trochę bliżej. Kurde, on tak serio? – Nie wiem, czy mogę ci ufać. Może lepiej sam sprawdzę.

– Uhm. Niech będzie.

Więc sprawdził. A ja rzeczywiście nie byłem najgorszy w całowaniu. Przynajmniej zdawało mi się, że nie jestem najgorszy w całowaniu. Boże, mam nadzieję, że nie byłem najgorszy w całowaniu.

– No i? – zapytałem chwilę później swobodnym, lekko zaczepnym tonem, bez cienia desperacji czy niepewności.

Jego twarz była tak blisko, że dostrzegałem wszystkie kuszące detale: gęste rzęsy, delikatny zarost i wgłębienia w kącikach ust.

– Nie wiem, czy jestem w stanie wyciągnąć odpowiednie wnioski, opierając się na jednym pomiarze.

– Oho. Naukowiec.

Powiększyliśmy zbiór danych. Gdy skończyliśmy, on przyciskał mnie do baru, a ja trzymałem ręce w tylnych kieszeniach jego dżinsów, już nawet nie kryjąc się specjalnie z tym, że próbuję go obmacać. I to właśnie wtedy przypomniałem sobie, że on zna moje nazwisko, nazwisko mojego ojca i pewnie też matki, i całkiem możliwe, że przeczytał wszystko, co kiedykolwiek o mnie napisało, ja natomiast wiem tyle, że ma na imię Cam i dobrze smakuje.

– Ale serio? – zapytałem zdyszany. Kiedy rzucił mi nierozumiejące spojrzenie, dodałem: – No wiesz, jesteś naukowcem? Nie wyglądasz.

– A, nie. – Uśmiechnął się, cały lisi i taki pyszniutki. – To był tylko pretekst, żeby móc dalej cię całować.

– To czym się zajmujesz?

– Jestem wolnym strzelcem, piszę głównie dla portali, które chciałyby być BuzzFeedem, ale nie są.

Wiedziałem. No kurwa, wiedziałem. Zbyt chętnie przymknął oko na moje liczne wady.

– Jesteś dziennikarzem.

– Przesada. Wymyślałam listy iluś tam rzeczy o kimś tam, w które nie uwierzysz. Te, którymi wszyscy gardzą, a jednak je czytają.

„Dwanaście rzeczy, których nie wiedziałeś o Lucu O'Donnellu. Punkt ósmy cię zszokuje”.

– Czasem układałam quizy, wiesz, wybierasz osiem zdjęć kotków, a my ci mówimy, którą postacią z filmów Johna Hughesa jesteś.

Racjonalny Luc z równoległego wszechświata, ten Luc, którego ojciec nie był słynnym gnojem i którego były chłopak nie sprzedał wszystkich jego tajemnic Piersowi Morganowi, próbował dać mi do zrozumienia, że reaguję zbyt gwałtownie. Niestety go nie słuchałem.

Cam pytając przekrzywił głowę.

– Co jest? Słuchaj, wiem, że to niezbyt seksowne zajęcie, nie mogę sobie nawet powtarzać „Ktoś to musi robić”, bo absolutnie nikt nie musi. Ale ty znów dziwnie na mnie patrzysz.

– Wybacz. To... skomplikowane.

– „Skomplikowane” często znaczy „interesujące”. – Wspiął się na palce i zatknął mi kosmyk włosów za ucho. – Całowanie już mamy zaliczone. Teraz popracujmy nad rozmową.

Uśmiechnąłem się z nadzieją, że nie wypadnie to błado.

– Wolę się trzymać tego, w czym jestem dobry.

– Wiesz co? Zadam ci pytanie, a jeśli spodoba mi się odpowiedź, będziesz mógł mnie znowu pocałować.

– Sam nie wiem...

– Zacznijmy od drobnostek. Wiesz, czym ja się zajmuję. A ty?

Serce mi waliło. Nic przyjemnego. Ale w zasadzie pytanie chyba było nieszkodliwe? Informacją dysponowało już co najmniej dwieście spambotów.

– Pracuję w organizacji pozarządowej.

– O! Bardzo szlachetnie. Powinienem teraz powiedzieć, że zawsze chciałem robić coś takiego, ale tak naprawdę jestem o wiele za płytki. – Spojrzała na mnie, a ja pocałowałem go nerwowo. – Ulubiony smak lodów?

- Mięta z czekoladą.
- Znów mnie pocałował.
- Książka, którą przeczytali wszyscy oprócz ciebie.
- Wszystkie.
- Cofnął się.
- Za to cię nie pocałuję. Strasznie tani unik.
- Nie, serio. Wszystkie. *Zabić drozda*, *Buszujący w zbożu*, wszystko Dickensa, *Na zachodzie bez zmian*, ta historia o żonie podróżnika w czasie, Harry Potter...
- Naprawdę się nie wstydzisz swojego analfabetyzmu, co?
- Uhm. Myślę nad przeprowadzką do Ameryki i kandydowaniem na jakiś ważny urząd.
- Roześmiał się, a po kolejnym pocałunku nie odsunął się, przywarł do mnie, czułem jego oddech na skórze.
- Dobra. Najdziwniejsze miejsce, w jakim uprawiałeś seks.
- To do punktu ósmego? – spytałem i parsknąłem beklowym śmiechem, pragnąc pokazać, że jestem wyluzowany i ponad to.
- Jakiego punktu ósmego?
- No wiesz: „Dwanaścioro dzieci gwiazd, które lubią się bzykać w dziwnych miejscach. Punkt ósmy cię zszokuje”.
- Czekaj. – Znieruchomiał. – Ty serio myślisz, że całuję się z tobą dla jakiegoś głupiego artykułu?
- Nie. To znaczy... Nie. Nie.
- Przez jedną straszną chwilę przypatrywał mi się bez słowa.
- Myślisz tak, prawda?
- Mówiłem, że to skomplikowane.
- To nie jest skomplikowane, to jest obraźliwe.
- Ja... Znaczy... – Pozostało jak zwykle się wycofać. – Nic z tego nie będzie. To nie twoja wina.
- Tym razem nie pociągnął mnie za królicze ucho.
- Jak to nie moja, skoro tak naprawdę się mnie boisz?
- Po prostu muszę być ostrożny. – Żeby nie było, zabrzmiało to niezwykle godnie. I wcale nie żałośnie.
- O czym miałbym w ogóle tam napisać? „Jak poznałem

dziecko przebrzmiałej gwiazdy”? „Syn gwiazdora nadal jest ge-
jem. Szok i niedowierzanie”?

– Brzmi lepiej od tego, co zazwyczaj piszesz.

Aż otworzył usta z wrażenia, a ja uświadomiłem sobie, że po-
sunąłem się o krok za daleko.

– Wow. Właśnie się zastanawiałem, który z nas jest większym
dupkiem. Dzięki za rozwianie wątpliwości.

– Nie, nie – rzuciłem pospiesznie. – Ja, pewnie, że ja. Wierz
mi, dobrze o tym wiem.

– Średnia pociecha. Zastanawiam się, co gorsze. Że myślisz,
że przeleciałbym kogoś umiarkowanie znanego dla kariery, czy
że twoim zdaniem decydując się na tak głęboko poniżający krok,
wybrałbym akurat ciebie.

Przełknąłem ślinę.

– To wszystko słuszne uwagi. Bardzo słuszne.

– Ja pitolę, trzeba było słuchać Angie. Po cholerę się wysilałem.

Odszedł w tłum, pewnie szukać kogoś normalnego, zostawia-
jąc mnie z przekrzywionymi króliczymi uszami i dojmującym
poczuciem osobistej porażki. Cóż, dwie rzeczy z pewnością mi
się dziś udały: okazałem wsparcie typowi, który go ani trochę nie
potrzebował, oraz wreszcie dowiodłem ponad wszelką wątpliwość,
że nikt przy zdrowych zmysłach nie zechce się ze mną umówić.
Byłem strachliwym, bucowatym paranoikiem, który potrafi sko-
pać najprostszą interakcję międzyludzką.

Oparłem się o bar i patrzyłem na piwnicę pełną obcych ludzi,
którzy bawili się lepiej ode mnie, wiedząc, że gdzieś tam pewnie
toczy się rozmowa o tym, jaki jestem beznadziejny. Uznałem, że
mam dwa wyjścia. Mogę wziąć się w garść, zachować jak dorosły,
odnaleźć znajomych i spędzić ten wieczór najlepiej, jak się da.
Albo pójść do domu, upić się w samotności, a potem bez powodze-
nia udawać, że podobnie jak w przypadku wielu innych wydarzeń
z mojego życia, także to nigdy nie miało miejsca.

Dwie sekundy później wybiegłem na schody.

Osiem sekund później – na ulicę.

A dziewiętnaście sekund później, potykając się o własne nogi, runąłem twarzą do rynsztoka.

Doprawdy było to ukoronowanie wieczoru, tyle że korona źle leżała, a wieczór przypominał habsburskiego księcia o twarzy zniekształconej chowem wsobnym. I wiadomo – to, co się stało, z pewnością się na mnie nie zemści.

ROZDZIAŁ 2

Zemściło się.

Zemsta nadeszła w formie alertu Google, od którego wibrującego telefon o mało nie spadł z komody. Jasne, wiem, że śledzenie internetowych doniesień na własny temat to zachowanie popaprańca lub narcyza, ewentualnie narcystycznego popaprańca, ale przekonałem się na własnej skórze, że lepiej wiedzieć, co gadają. Machnąłem ręką na oślep i strąciłem na podłogę inne wibrujące urządzenie – „dla panów pragnących doświadczyć wyrafinowanej przyjemności” – aż wreszcie wymacałem telefon z wdziękiem nastolatka, który po raz pierwszy próbuje pettingu.

Wolałbym nie patrzeć. Ale wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, wyrzgam całą tę lepką mieszankę strachu, nadziei i niepewności, która zmieniała mi wnętrze w papkę dla niemowląt. Zazwyczaj nie było tak źle, jak wcześniej sądziłem. Tyle że... nie zawsze. Mrużąc powieki jak małe dziecko, które strachliwie śledzi zza kanapy odcinek *Doktora Who*, sprawdziłem powiadomienia.

I odetchnąłem z ulgą. Nie było źle. Wprawdzie w idealnym świecie zdjęcia, na których ubrany w królicze uszy leżę w rynsztoku obok wyjścia z The Cellar, nie krzyczałyby ze wszystkich trzeciorzędnych portali plotkarskich, od Celebitchy po Yeeeah.

A w naprawdę idealnym świecie potrzebowalbym o wiele więcej, żeby móc odetchnąć z ulgą. Ale ponieważ od dawna miałem przegwizdane na wszystkich frontach, z czasem zmieniłem wymagania. Przynajmniej na zdjęciach byłem ubrany i nie miałem w ustach niczyjego kutasa. Tak że wiecie – sukces.

Dzisiejszy gwóźdź do trumny mojej internetowej reputacji sponsorowało powiedzonko „jaki ojciec, taki syn”, ponieważ sieć to istny róg obfitości, jeśli chodzi o zdjęcia Jona Fleminga robiącego z siebie debila. A „Zbuntowany synek Jonny’ego Łobuza w rynsztoku po pijacko-narkotycznej orgii” to jednak bardziej efektowny nagłówek niż „Mężczyzna potyka się na ulicy”. Z westchnieniem upuściłem telefon na podłogę. Okazało się, że gorsze od bycia dzieckiem faceta, którego kariera eksplodowała niczym szampańska supernowa, jest bycie dzieckiem upadłej gwiazdy właśnie zaliczającej wielki powrót.

Dopiero niedawno nauczyłem się żyć z ciągłymi porównaniami do mojego nieobecnego, lekkomyślnego, autodestrukcyjnego ojca. Teraz zaś ten właśnie nieobecny, lekkomyślny, autodestrukcyjny typ ogarnął się i co niedzielę odgrywał w telewizji ITV rolę mentora, przez co porównania przechyliły się na jego korzyść. Nie byłem emocjonalnie gotowy na taki poziom absurdu. Pewnie, trzeba było nie czytać komentarzy, ale wzrok jakoś sam ześliznął się na rzucony przez użytkownika wellactually69 pomysł, aby stworzyć reality show, w którym Jon Fleming próbuje nawrócić synalka ćpuna na właściwą drogę – na co wszyscy zareagowali kciukami w górę, a użytkowniczka theotherjillfrompeckham zadeklarowała, że taki program „oglądałaby jak pojebana”.

Wiedziałem, że w ostatecznym rozrachunku to nie ma znaczenia. Internet jest wieczny, to jasne, ale jak wiadomo, dzisiejsze gazety jutro wylądują w śmietnikach, czy jaki tam jest cyfrowy odpowiednik gazet i śmietników. Wszyscy zapomną o sprawie, póki komuś znów nie zachce się napisać o Jonie Flemingu. Co nie zmienia faktu, że czułem się kurewsko źle – tym gorzej, im dłużej o tym rozmyślałem.

Próbowałem się pocieszać, że przynajmniej Cam nie umieścił mnie na liście „Dwunastu palantów, którzy zrobią ci scenę w nocnym klubie”. Ale sam nie wiedziałem, czy to kiepskie pocieszenie, czy w ogóle żadne. Prawdę mówiąc, nigdy nie umiałem się troszczyć o własne zdrowie psychiczne. Oskarżanie się o wszystko to moja specjalność. Nienawiść do samego siebie czuję czasem nawet we śnie. A dziś na przykład, mimo dwudziestu ośmiu lat na karku, poczułem nagle przemożną potrzebę, żeby zadzwonić do mamy, bo mi smutno.

A to dlatego, że jedyne, co osładza mi świadomość, że ojciec jest, jaki jest, to to, że mam taką mamę, jaką mam. Możecie poczytać o niej na Wikipedii, w skrócie była w latach osiemdziesiątych kimś w rodzaju Adele, tyle że z francusko-irlandzkimi korzeniami i jeszcze bujniejszą fryzurą. A mniej więcej w czasach, gdy Sabrina wydała słynną odezwę do chłopaków, a Cliff Richard wyskakiwał ze świątecznych lodówek z jemiółą i winem, moi rodzice wpadli w wir miłości pomieszanej z nienawiścią, czego skutkiem były dwa wspólne albumy plus jeden solowy, no i ja.

No dobra, tak naprawdę pojawiłem się wcześniej niż ten solowy album, wydany przez ojca, gdy doszedł do wniosku, że sława i szalone imprezy są dla niego ważniejsze niż obecność w naszym życiu. *Welcome Ghosts* była ostatnią napisaną przez mamę płytą, ale szczerze mówiąc, później nic już pisać nie musiała. Niemal co roku BBC, ITV albo któreś studio filmowe wykorzystuje jeden z numerów jako ścieżkę dźwiękową smutnej albo dramatycznej sceny, czy nawet takiej, do której ta muzyka w ogóle nie pasuje. Ale co tam, ważne, że hajs się zgadza.

Wygramoliłem się z łóżka i odruchowo przybrałem pozę Quasimoda, która weszła mi już w krew, był to bowiem jedyny sposób, aby osoba mierząca ponad metr sześćdziesiąt siedem mogła chodzić po mieszkaniu, nie rozbijając głowy o skos sufitu. Ponieważ mam metr dziewięćdziesiąt trzy, równie dobrze mógłbym sobie wymyślić, że będę jeździł mini cooperem. Mieszkanie wynająłem razem z Milesem, moim eks, w czasach, gdy wizja

przeprowadzki do współczesnej wersji zatęchłego poddasza na Shepherd's Bush wydawała mi się romantyczna. Dziś czułem, że to coraz bardziej żalosne: byłem sam, utknałem w pracy bez żadnych perspektyw i nadal nie mogłem sobie pozwolić na wynajem czegoś innego niż kilka metrów strychu. Oczywiście nie wykluczam, że ów strych wyglądałby nieco lepiej, gdybym go od czasu do czasu posprzątał.

Zrzuciłem z kanapy stertę skarpet i zwinąwszy się w kłębek, uruchomiłem FaceTime.

– *Allô, Luc, mon caneton* – odezwała się mama. – Widziałeś, jak twój ojciec wczoraj wieczorem pokazał wszystko?

Omiał nie krzyknąłem z autentycznego przerażenia, ale po chwili przypomniałem sobie, że *Pokaż wszystko* to tytuł tego jego durnego programu.

- Nie. Wyszedłem ze znajomymi.
- Obejrzyj. Na pewno będą powtórki.
- Nie chcę.

Teatralnie rozłożyła ramiona, wydymając usta. Ta jej francuskość jest pewnie celowo przerysowana, ale trudno mieć pretensje, skoro od swojego ojca dostała nazwisko i nic więcej. Może oprócz bladej cery, której pozazdrościłaby jej Siouxsie Sioux. W każdym razie nawet jeśli skłonności do porzucania własnych dzieci nie leżą w genach, to w naszej rodzinie są dziedziczne – bez dwóch zdań.

- Twój ojciec źle się starzeje – oznajmiła.
- Dobrze wiedzieć.
- Jest już łysy jak jajo, w dodatku o dziwnym kształcie. Wygląda jak ten nauczyciel chemii, który chorował na raka.

To była dla mnie nowość. Ale swoją drogą niespecjalnie interesowałem się dawną szkołą. Szczerze mówiąc, niespecjalnie nawet ciekawiły mnie losy ludzi mieszkających po niewłaściwej stronie Londynu.

- Pan Beezle chorował na raka?
- Nie on. Ten drugi.

Kolejna cecha mamy: co najmniej wątpliwy kontakt z rzeczywistością.

– Chodzi ci o Waltera White’a?

– *Oui, oui*. I wiesz, uważam, że jest już za stary na płasanie z fletem.

– Mówimy o ojcu, prawda? Bo jeśli nie, to znaczy, że ostatnie sezony *Breaking Bad* skręciły w bardzo dziwną stronę.

– Jasne, że o ojcu. Pewnie niedługo złamie sobie biodro.

– Cóż, pozostaje trzymać kciuki – rzuciłem z uśmiechem.

– Postawił na tę młodą damę z harmonijką, bardzo słusznie, bo ma największy talent. Ale wybrała jednego z chłopców z Blue. Znakomicie się bawiłam.

Gdyby to tylko od niej zależało, moja mama mogłaby bez końca gadać o programach typu reality show. Niestety – ponieważ wypowiedzi wellactually69 i reszty wciąż brzęczały mi w głowie jak stado szerszeni – próbując odwieść ją od tego tematu, wygadałem się, że dorwali mnie paparazzi.

– Ojej, skarbie. Znowu? Tak mi przykro.

Teraz ja wzruszyłem ramionami, ale ani teatralnie, ani we francuskim stylu.

– Wiesz, jak to jest – dodała łagodnym tonem. – Burza w szklance wódki.

Musiałem się uśmiechnąć. Mama umie mnie rozbroić.

– Wiem. Tylko nawet jeśli piszą głupoty, i tak wracają tamte wspomnienia.

– To nie była twoja wina. To, co zrobił Miles. Tak naprawdę nie chodziło nawet o ciebie.

Prychnąłem.

– Chodziło wyłącznie o mnie.

– Wiadomo, że to, co robią inni, ma na ciebie wpływ. Ale ich działanie wynika przede wszystkim z ich własnych problemów.

Przez chwilę oboje milczeliśmy.

– Myślisz... że kiedyś przestanie boleć?

– *Non*. – Mama pokręciła głową. – Ale przestanie mieć znaczenie.

Chciałem jej wierzyć. Naprawdę. W końcu sama była żywym dowodem na prawdziwość swoich słów.

– Chcesz wpaść, *mon caneton*?

Mieszkała tylko jakąś godzinę drogi ode mnie, o ile ktoś podwiózłby mnie z Epsom Station (1,6 gwiazdki w Google). Ale choć mogłem jeszcze jakoś usprawiedliwić potrzebę dzwonienia do niej przy każdym kryzysie, to tak dosłowna ucieczka pod mamine skrzydła nawet dla mnie byłaby zbyt żenująca.

– Ostatnio oglądamy z Judy nowy program – kusila mama, chyba sądząc, że to mnie przekona.

– Tak?

– Bardzo intrygujący. Nazywa się *RuPaul's Drag Race*, sły-szałeś o nim kiedyś? Na początku nie wiedziałyśmy, czy się nam spodoba, myślałyśmy, że jest o wyścigach samochodowych. Wyobrażasz sobie naszą radość, gdy się okazało, że chodzi o panów, którzy przebierają się za panie? Czemu się śmiesz?

– Bo cię kocham. Bardzo.

– Nie ma się z czego śmiać, Luc. Byłbyś pod wrażeniem.

– Wiem, czym jest *Drag Race*. Pewnie lepiej od ciebie.

Tak to jest, gdy ci dają nagrodę Emmy. Zaczynają cię oglądać matki twoich widzów.

– Przyjedź, *mon cher*.

Mama nadal mieszka tam, gdzie dorastałem – w maleńkim, malowniczym miasteczku Pucklethroop-in-the-Wold – i głównie zajmuje się wpadaniem w rozmaite tarapaty wraz ze swoją najlepszą przyjaciółką Judith Cholmondely-Pfaffle.

– Ja...

Zostając w domu, mógłbym podzialać jak dorosły, na przykład umyć talerze albo zrobić pranie. Choć pewnie i tak skrolowałbym powiadomienia Google jak ktoś, kto skubie strup, póki nie polecą krew.

– Ugotuję swoje słynne curry.

To mnie przekonało.

– No to nie przyjadę.

– Luc, ja cię zapraszam na curry, a ty jesteś niemiły.

– Owszem, bo nie lubię, jak mnie pali dupa.

Mama wydeła usta.

– Jak na geja jesteś stanowczo zbyt przewrażliwiony na punkcie swojej dupy.

– Możemy już o tym nie gadać?

– Sam zacząłeś. W każdym razie Judy uwielbia moje curry.

Czasem myślę, że Judy musi mamę kochać. Inaczej nie odważyłaby się próbować jej dań.

– To pewnie dlatego, że od dwudziestu pięciu lat systematycznie masakrujesz jej kubki smakowe.

– Cóż, jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie nas szukać.

– Dzięki, mamó. Niedługo się odezwę.

– *Allez*, kotku. *Bises*.

Bez maminej paplaniny dom wydał mi się nagle bardzo cichy, a czekający mnie dzień... długi. Zwykle – zajęty pracą, spotkaniami z przyjaciółmi i dalekimi znajomymi oraz sporadycznymi próbami przespania się z kimś – mogłem udawać, że mieszkam w niewartym swojej ceny zaniedbanym hotelu. Wraciałem tylko na noc i następnego ranka znów wychodziłem.

Nie licząc niedziel. Niedziele były trudne. Albo stały się trudne w miarę upływu lat. W czasach studenckich kojarzyły mi się z brunchami w gronie przyjaciół, moralniakami po sobocie i sennymi popołudniami. Później znajomi zaczęli się wykruszać jeden po drugim, wybierając kolacje z teściami, urządzenie pokoju dla dziecka albo rozkosze domatorstwa.

Nie miałem pretensji o zmiany, jakie zaszły w ich życiu. Ani im nie zazdrościłem. To nie moja bajka. W końcu z tego, co pamiętam, niedziele z Milesem z maratonów bzykanka dość szybko przerozdiły się w maratony pełgającej niechęci. Miałem tylko problem z takimi dniami jak dzisiejszy, kiedy powiadomienia w telefonie stawały się całym moim światem.

Bardzo trudno było je zignorować. Ponieważ wiedziałem, że mama ma rację: jeśli zdołam jakoś przetrwać dziś, jutro to wszystko będzie bez znaczenia.

Okazało się, że oboje byliśmy w błędzie.

I to jeszcze jak.

ROZDZIAŁ 3

Poniedziałek zaczął się jak zwykle – spóźniłem się, na co nikt w biurze nie zwrócił uwagi. Mówię „w biurze”, choć to w rzeczywistości dom w Southwark przerobiony bez pomysłu na siedzibę fundacji, w której pracuję. Tak się składa, że jedynej fundacji, i w ogóle jedynej instytucji, która chciała mnie zatrudnić.

Jest to bękart powstały z połączenia dwojga umysłów: starszego hrabiego z żyłką agronoma i entomolożki po Cambridge, która czasem wydaje mi się przybyłym z przyszłości androidem. Ich misja – ratowanie żuków gnojowych. A moim zadaniem, jako osoby odpowiedzialnej za pozyskiwanie sponsorów, było przekonanie ludzi, że lepiej dać pieniądze na żuki jedzące kupę niż na pandy, sieroty czy – uchowaj Boże – Comic Relief. Chciałbym móc stwierdzić, że jestem w tym dobry, ale w zasadzie nie sposób tego ocenić. W każdym razie jeszcze nie splajtowaliśmy. A podczas rozmów o pracę w innych miejscach, które nie chcą mnie zatrudnić, mówię zwykle, że żadna z organizacji charytatywnych zajmujących się odchodami nie zbiera więcej funduszy niż my.

Do tego nazywamy się Specjalistyczne Towarzystwo Ochrony i Lobbowania w sprawie Chrzążczy. Skrót wymawia się rzecz jasna: „es, te, o, el, ce”. W żadnym wypadku nie „STOLC”.

Praca w STOLC-u ma liczne wady: centralne ogrzewanie latem buzuje na całego, za to zimą co chwila się psuje, kierowniczka biura nie pozwala wydawać pieniędzy na nic, niezależnie od powodu, komputery są tak stare, że wciąż mamy na nich wersję Windowsa z rokiem w nazwie, ja zaś co dzień na nowo mierzę się ze świadomością, że tak właśnie wygląda moje życie. Są jednak i zalety. Kawę mamy całkiem niezłą, a to dlatego, że w świecie doktor Fairclough liczą się dwie rzeczy: kofeina i bezkręgowce. Poza tym co rano, czekając, aż uruchomi się mój średniowieczny komputer, opowiadam dowcipy Alexowi Twaddle'owi. A raczej: opowiadam dowcipy w jego obecności. Podczas gdy on patrzy na mnie i mruga.

Nie wiem o nim za dużo, a już na pewno nie wiem, jakim cudem dostał tę pracę, teoretycznie polegającą na obsłudze gabinetu doktor Fairclough. Słyszałem kiedyś, że skończył studia z wyróżnieniem, ale nie mam pojęcia jakie i gdzie.

– No więc dwóch facetów pędzi na rozprawę w sądzie. Są już mocno spóźnieni – zacząłem.

– A co się stało? Zaspali? – Alex patrzył na mnie pytającym wzrokiem.

– Nieważne, słuchaj dalej. No więc docierają na miejsce i biegną na salę rozpraw na trzecim piętrze, po schodach, bo winda zepsuta. Wreszcie wpadają do środka okropnie zdyszani. Sędzia patrzy na nich i pyta: „Panowie biegli?”. Na to oni odpowiadają: „Nie, świadkowie”.

Zapadła długa chwila ciszy.

Alex mrugał wytrwale.

– A sędzia nie powinien wiedzieć, kto jest kim?

Już jakiś czas temu straciłem rozeznanie, czy robię to, bo lubię, czy po to, by się za coś ukarać.

– Tu chodzi o grę słów, rozumiesz? „Biegli sądowi” i „biegli do sądu”.

– Aha. – Zastanawiał się przez moment. – Nie, to chyba nie ma sensu.

– Masz rację. Następnym razem bardziej się postaram.
– Przy okazji: o dziesiątej trzydzieści masz spotkanie z doktor Fairclough.

To nie mogło znaczyć nic dobrego.

– Podejrzewam, że nie wiesz, po co chce się ze mną widzieć – bąknąłem, pewny, że to nic nie da.

Rozpromienił się.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Tak trzymaj.

Powlokłem się z powrotem na dół, a perspektywa rozmowy z doktor Fairclough sunęła nade mną niczym komiksowa czarna chmura. Nie zrozumcie mnie źle. Mam dla szefowej dużo szacunku – gdyby przytrafił mi się jakiś chrząszczowy kryzys, zadzwoniłbym do niej w pierwszej kolejności – po prostu kompletnie nie umiem się z nią dogadać. Żeby nie było, ona ze mną też nie. Ani z nikim innym, jak sądzę. Różnica między nami polega na tym, że jej to nie przeszkadza.

Idąc skrzypiącym korytarzem, usłyszałem głos:

– Luc, to ty?

Niestety, nie dało się zaprzeczyć.

– Tak, ja.

– Mógłbyś zajrzeć do mnie za chwilę? Mam tu mały kłopot z Twitterem.

Jako lojalny członek zespołu zajrzałem. Rhys Jones Bowen – koordynator wolontariatu i szef działu mediów społecznościowych – siedział zgarbiony nad komputerem i stukał jednym palcem w klawiaturę.

– Pamiętasz, jak prosiłeś, żebyśmy powiadomił ludzi o Zrzutce na Żuki?

Zrzutką na Żuki nazywamy w fundacji coroczną kolację z tańcami dla darczyńców. Organizowałem ją od trzech lat. Fakt, że jest to najważniejszy z moich obowiązków, mówi o imprezie wszystko, co potrzebujecie wiedzieć. O mojej pracy zresztą też.

Z całych sił starałem się zachować neutralny ton głosu.

– Pamiętam, że wspominałem ci o tym w zeszłym miesiącu.
– Ano widzisz. To słuchaj. Zapomniałem hasła. Zamierzałem poprosić o przesłanie nowego na mail, którego użyłem do założenia konta. Ale okazuje się, że hasła do maila też zapomniałem.

– Tak, rozumiem, że to może być problematyczne.

– Pamiętałem, że mam je zapisane na karteczce samoprzylepnej. I że na wszelki wypadek włożyłem ją do książki. W niebieskiej okładce. Ale nie mogłem sobie przypomnieć tytułu, autora ani treści.

– A nie mogłeś zresetować hasła do maila? – zapytałem ostrożnie.

– Mogłem, ale na tym etapie bałem się, dokąd mnie to wszystko zaprowadzi.

To się, prawdę mówiąc, często zdarza. Znaczy nie to konkretnie, ale podobne rzeczy. I pewnie martwiłbym się bardziej, gdyby nie świadomość, że naszego Twittera obserwuje sto trzydzieści siedem osób.

– Nie przejmuj się – rzuciłem.

Rhys uspokajającym gestem wyciągnął rękę w moją stronę.

– Serio, mimo wszystko jest okej. Bo widzisz, siedziałem na kibelku, a zawsze biorę tam ze sobą książkę i czasem kilka zostawiam, na wypadek gdybym następnym razem zapomniał. Zobaczyłem na parapecie tę z niebieską okładką, więc ją zdejmuję, otwieram, a tam karteczka samoprzylepna. Dobrze, że już siedziałem, bo z radości chyba zrobiłbym w gacie.

– Rzeczywiście dobrze, dla nas wszystkich. – Marząc, żeby już zakończyć toaletowy wątek, zapytałem: – Czyli odzyskałeś hasło, to w czym problem?

– No bo widzisz, mam za dużo liter w tym okienku.

– Podyktowałem ci, co napisać. Powinno się zmieścić.

– Ale potem dowiedziałem się, że istnieje coś takiego jak hasztagi. Podobno są absolutnie konieczne, żeby każdy wiedział, o czym twittujesz na Twitterze.

Trzeba mu oddać, że się nie mylił. Jednak moja wiara w talent Rhysa Jonesa Bowena do ogarniania mediów społecznościowych była co najmniej chwiejna.

– Okej...

– Wypisałem sobie różne pomysły i myślę, że ten będzie najlepszy. – Bezpodstawnie triumfalnym gestem podsunął mi mozolnie zabazgraną kartkę papieru.

#CorocznaKolacjaZTańcamiOrazCichąAukcjąOkazówSpecjalistycznegoTowarzystwaOchronyLobbowaniaWSpecjalistycznymZnanaRównieżJakoZrzutkaNaŻukiOdbędzieSięWRoyalAmbassadorsHotelWMaryleboneNieTymWEdynburguBiletDoKupieniaNaNaszejStronie.

– No i zostało mi miejsca jeszcze tylko na pięćdziesiąt sześć – poskarżył się.

Wiecie, dawno temu, za siedmioma górami, moja kariera zapowiadała się bardzo obiecująco. Mam dyplom, do cholery. Pracowałem dla największych agencji PR-owych w mieście. A teraz przyszło mi całymi dniami tłumaczyć temu idiocie, jak działają hasztagi.

Albo i nie.

– Zrobię ci grafikę – obiecałem.

Wyraźnie się ucieszył.

– To znaczy, że na Twittera można wrzucać grafiki? Czytałem, że ludzie dobrze na nie reagują dzięki temu, że w szkołach uczą myśleć obrazami.

– Do lunchu będzie gotowa.

Wróciłem do siebie. Komputer wreszcie się uruchomił i rzęził teraz niczym tyranozaur z astmą. Sprawdzając pocztę, z zakłopotaniem stwierdziłem, że część darczyńców – i to tych dość ważnych – wycofała się z udziału w Zrzutce na Żuki. Prawda, ludzie bywają zawodni, zwłaszcza gdy prosisz ich o pieniądze, a szczególnie gdy mają one iść na żuki gnojkarze. Ale tym razem

poczułem ciarki na plecach. To mógł być zbieg okoliczności. Tyle że coś mi mówiło, że jednak nie.

Szybko sprawdziłem, czy jakiś domorosły twórca porno znów nie włamał nam się na stronę. Nie znalazłszy niczego niepokojącego (ani ciekawego), zacząłem śledzić w sieci utraconych darczyńców, jak ten typ z *Pięknego umysłu*, próbując dociec, czy coś ich ze sobą łączy. Nie łączyło. Poza tym, że wszyscy byli bogatymi białymi konserwatystami – politycznie i światopoglądowo. Jak większość naszych sponsorów.

Nie twierdzę, że żuki gnojowe nie są ważne – doktor Fairclough kilkakrotnie i wyczerpująco tłumaczyła mi coś o napowietrzaniu gleby i jej składzie organicznym – ale trzeba być niezwykle społecznie uprzywilejowanym, żeby bardziej przejmować się ochroną gatunkową chrząszczy niż chociażby minami lądowymi czy schroniskami dla bezdomnych. Oczywiście większość z nas powiedziałaaby, że bezdomni są ludźmi, dlatego zasługują na wsparcie. Natomiast doktor Fairclough stwierdziłaby raczej, że bezdomni są ludźmi, a więc jest ich masa, zatem pod względem ekologicznym znaczenie mają małe albo wręcz są szkodliwi. W przeciwieństwie do żuków gnojowych, które są nie do zastąpienia. I to właśnie dlatego ona koncentruje się na badaniach, a z mediami rozmawiam ja.